



KRZYSZTOF ZABIEGLIŃSKI JR.

ŁOWCA ZŁOTA

TOM I

TAJEMNICE TO OGIEŃ. BY JE POZNAĆ, MUSISZ PŁONAĆ.

Siedemnastoletni Arvid, nowicjusz Zakonu Nieskończonych Słońc, zostaje uwikłany w intrygę, która na celu ma uczynienie go nowym wcieleniem postaci z zaginionej historii. Chłopak musi stawić czoła wojnie wierzeń, przekonań i tradycji... Lecz czy na pewno jest tylko ofiarą? W Imperium Andred fikcja miesza się z rzeczywistością, a największą zgubą człowieka mogą stać się jego własne pragnienia.

Powieść Krzysztofa Zabieglńskiego Jr. to pierwsza część planowanego cyklu „Łowca Złota”, w której autor umiejętnie łączy wartką, pełną tajemnic akcję z rozważaniami na temat wiary i filozofii.



Krzysztof Zabieglński Jr.

Urodził się w Gdyni, lecz niemal całe życie spędził w pobliskiej Rumi. Jest absolwentem III Liceum Ogólnokształcącego w Gdyni, a na Uniwersytecie Gdańskim zdobył tytuł magistra psychologii klinicznej. Rozczarowany zarówno akademicką, jak i praktyczną stroną psychologii – zdecydował się wyjechać do Norwegii, gdzie obecnie ma się prac wszelakich. Fantastyka i pokrewne tematy literackie są mu bliskie, odkąd nauczył się czytać. Ma już na swoim koncie zbiór opowiadań *Opowieści z karczmy*.

ŁOWCA
ZŁOTA

KRZYSZTOF ZABIEGLIŃSKI JR.

ŁOWCA ZŁOTA

TOM I


Sorus

Redaktor prowadzący
Wojciech Nowakowski

Redakcja
Izabela Dachtera-Walędziak

Projekt okładki
Katarzyna Plichta

Łamanie
Maciej Torz

Copyright © by Krzysztof Zabiegliński Jr. 2023
Copyright © by Sorus 2023

Wydanie I, Poznań 2023

ISBN 978-83-67139-02-1 książka
ISBN 978-83-67139-03-8 e-book

Wydaj z nami swoją książkę!
www.sorus.pl/formularz-zgloszeniowy

Wydawnictwo Sorus
Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja
DM Sorus sp. z o.o.
ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań
tel. +48 61 653 01 43
sorus@sorus.pl

Ekwiwokacja, czyli od Autora

*Panienkę i cymbały
Ujrzałem raz w widzeniu:
To Abisynka grała
Tak dźwięcznie na cymbałach,
Śpiewając o górze Abora.
Gdyby we mnie ożył
Dźwięk jej pieśni wdzięcznej,
Doznałbym rozkoszy
I, przy gęździe dźwięcznej
Wzniósłbym kopułę w powietrze,
Kopułę w słońcu! Lodowe jaskinie!
A każdy, słysząc, ujrzałby je wreszcie,
Każdy by wołał: „Wieszczu strzeż się! Strzeż się!”.
Włos ma rozwiany, okiem iskry krzesze!
Krąg niech trzykroć go spowinie,
Zamknijcie oczy, trwożliwi,
Bo miodunką on się żywił,
A w jego usta rajske mleko płynie.*

Samuel Taylor Coleridge, *Kubla Khan*
(przeł. Stanisław Kryński)

Najdroższy Czytelniku!

Oto jest: tom pierwszy *Łowcy Złota*, opowieści o... Ach, powstrzymam się przed zdradzeniem swojego zdania. Dla Ciebie może ona być o na przykład niezbyt rozgarniętym chłopaku, który znalazł się we właściwym/niewłaściwym miejscu we właściwym/niewłaściwym czasie, w dowolnej kombinacji tychże. Kto inny może uznać, że jest to typowa opowieść o mieczu i magii, okraszona prochem strzelniczym i silnikami parowymi dla dodania smaczku. Nikomu takiej interpretacji nie będę miał za złe. Ktoś być może zachwyci się, twierdząc, iż jest to historia o potędze wierzeń i czynów, jakiegokolwiek by one nie były. A może odwrotnie: jest o nieuchronności Losu i beznadziei ludzkich buntów? Inna osoba powie, że to opowieść o przyjaźni i tym, że nikt nie zdziała wielkich rzeczy sam. Kolejny człowiek powie co innego: że omawia to, iż ostatecznie każdy jest sam. Inny określi, że to opowieść o kotach. Jest to, być może, opowieść też o kłamstwach, całej masie kłamstw. Wszyscy w niej wszak, jak to bywa w wielkich historiach, kłamią. I wiesz, co jest najlepsze? Wszyscy będziemy mieli rację i wszyscy będziemy się mylili. I chyba o tym jest *najbardziej* ta książka – forma przekazu bardzo niedoskonała i ograniczona, jednak póki co, wystarczająca. Niechaj służy nam jako alef, który połączy nas w rozdzwieku.

Wszystkie opisane w niej przygody, rzecz jasna, są całkowicie prawdziwe. Nie twierdzę przez to, że się fizycznie wydarzyły. Są tym, co dała mi woda. Jak papier przechodzi długą drogę od drewna do kartki, tak i wydarzenia, traumy, emocje oraz przemyślenia, które przebiegają pędem przez głowę autora, wreszcie znajdują swoje ujście w metaforycznych formach i alegoriach literackich. Dlatego – w pełni będąc świadomym zawadzania o solipsyzm, będący jednym z grzechów śmiertelnych – mogę z ręką na sercu rzec, iż wszystkie wydarzenia w książce w ten czy inny sposób znajdują swoje pokrycie w rzeczywistości. Które? Nie pytajcie, bo zapewne skłamię. Co one oznaczają? Nie pytajcie, bo również skłamię. Co powinniście z nich wyciągnąć? Ha. Mości Coleridge pisał swój poemat pod wpływem opium, a ja zaś mogę powiedzieć, że „Łowcę Złota” pisałem pod wpływem narkotyku o wiele mocniejszego i bardziej otumaniającego: życia w XXI wieku. Ta opowieść to nie legenda czy baśń. To sen w malinie.

W każdym razie – życzę miłej lektury. I uważaj. Ta książka kłamie w ten sam sposób, w jaki kłamią poeci: wykorzystując Twoje własne wyobrażenia. Nie ufaj temu, co Ci opowiada. Nie ufaj temu, co widzisz. Powodzenia i... mam nadzieję, widzimy się w dalszej części opowieści.

Krzysztof Zabiegliński jr.

Dla Szymonka

***Przekonania
są bardziej niebezpiecznymi
wrogami prawdy niż kłamstwa.***

Fryderyk Nietzsche

Księga Kronikarza

Część I

PROLOG: PALINGENEZA

Spójrz na siebie. Niedobrze mi. Nazywasz się buntownikiem – a na jakiej podstawie walczysz, głupcze? Czy rozumiesz otaczający cię świat? Czy rozumiesz, dlaczego wygląda jak wygląda? Możesz przeczytać całe tomy swojej „teorii”, możesz wchłonąć tysiące ulotek propagandowych. Ale wiedz to: żeby zrozumieć świat, musisz poznać jego historię od początku do końca, nie pomijając niczego. Musisz poznać nie cynizm współczesności, tylko mądrość wieków. Myślisz, że przed tobą nie było wyzwolicieli? Myślisz, że przed twoją nie było rewolucji? Świat, przeciw któremu walczysz, jest owocem zmian przeprowadzonych właśnie przez nie. Wszyscy oni, tak jak i ty, walczyli o zmienienie świata, którego nie rozumieli, aby zbudować przyszłość na własnym niedoinformowaniu. Człowiek rodzi się głupcem, głupcem żyje, głupcem umiera. Nie przez lenistwo, niedouczenie, wady – tylko dlatego, że nie ma innej możliwości. Każdy z nas jest zbyt ograniczony, by zrozumieć niemożliwie misterną pajęczynę przyczyn i skutków, które budują świat takim, jaki jest. Wszyscy wielcy teoretycy, których ewangeliiom hołdujesz? Tak samo jest z nimi. A ty, głupcze? Chcesz spalić pajęczynę, nie rozumiejąc logiki ułożenia jej nici. Rób, co chcesz. Ale zanim pociągniesz za spust, dam ci radę. Chcesz rozumieć? Rozumieć wszystko, rozumieć świat? Szukaj Czarnego Kronikarza. Tylko on posiada mądrość, której potrzebujesz. Ale gdy go odnajdziesz, on najpierw cię wyśmiej, a potem cię zabije.

- Erythus „Dżokej” Battan, profesor etyki komparatywnej (rok 9923 Ery Cyfr)

Zimny, morderczy wicher wyl upiornie i zwiastował nadejście kolejnej zamieci. Niewysoko nad nim jakiś ptak nienazwanego gatunku rozpaczliwie próbował utrzymać się w locie na przekór pogodzie. Nie dane mu było osiągnąć zwycięstwa. Zerwany przez wiatr kawałek lodu, poniesiony i oszlifowany na ostrze przez calidzką burzę, trafił go prosto między oczy, rozdławiając czaszkę pierzastego podróżnika wzdłuż.

Krew i mózg zamarzły, zanim zdążyły uderzyć w podłoże. A miało być tylko gorzej.

Wąskie oczy spoglądały w górę. Zero chmur, jak zwykle. Nawet on nie wiedział dlaczego. W poprzednim świecie zamieć zawsze pochodziła z chmur, tych trupich obłoków. W tym – nie. Choćby wiało i gromiło śniegiem, gradem, lodem, gniewem wszystkiego co zimne, to jego świat nie znał chmur.

Takie burze śnieżne często uprzykrzały mu życie. Oprócz ostrego jak brzytwa lodu, który niosły, to jeszcze ograniczały cenne pole widzenia do minimum i odślaniały go na ataki. Wszędzie czaiły się białe, niewidzialne na tle okolicy stwory, które chętnie obdarzyłyby go z łuski i spożyły. Naturalnie, byłoby to dla niego jedynie lekką niedogodnością, jednak oznaczałoby niepowetowaną stratę czasu. Zimno samo w sobie mu nie przeszkadzało nic a nic. Przeżywał już na własnej skórze gorsze mrozy, od górskich zawieruch po tchnienie swego wielkiego srebrnego wuja. Przeżył wszystkie. Nie miał innej możliwości mimo chęci.

Ta burza jednak wydawała się nieco inna, miała w sobie ślad grozy. To zimno sprawiało, że kosztowało nie tylko ciało, ale i dusza. Było w nim coś złego. Oprócz wyścia wiatru i szczeru lodowych okrucieństw, w powietrzu słyszał coś jeszcze, jakiś jęk, przywodzący na myśl pisk młodego gada. Uśmiechnął się mimowolnie. Być może był to jego własny głos? Czasem przyłapywał się na takim zawrocie głowy. Nienawidził za nie samego siebie, mocniej jeszcze, niż nienawidził śnieżnicy. Śnieżnica była korytem rzeki, która łączy własne koryto, złą rzeką jest.

On, ciemna figura, kropka na białej płaszczyźnie równiny, bezustannie brnął przez śniegi. Brodził w nich po kolana, jak niegdyś we krwi i odchodach. Uśmiechał się z ironią – tyle tysięcy, chmury zniknęły, a śnieżniki zachowywały się tak samo, jakby dalej były wykruszane z tych samych boskich zwłok w niebiosach. Sam śnieg również był przez to groźny. Nie należało wpatrywać się w fantazyjne wzory płatków. Zawierały myśli, choć być może już nie tego samego boga. Pod śniegiem z kolei był już tylko lód zbyt twardy, by cokolwiek go przebiło, czarny lód z wezbranych wód Morza Pod. A on sam drżał z zimna, jak zawsze zresztą. Nawet nie myślał o tym zbyt. Drżał już tak od dnia, w którym planeta Eanis przeistoczyła się w lodowe pustkowienie. Od czasu tego przeklętego dnia, w którym Czwórka – Czterech Jeźdźców Marathar – weszła do świata. Jego świata.

– Nadal nie rozumiesz, czym byli Jeźdźcy... i czym nie byli. Mój niewolniku – rzekł smutny głos. Zignorował go.

Przed zlodowaceniem był wyrzutkiem. Przez przekonania opuścił dom, rodzina go wyklęła i stał się ostrzem do wynajęcia. Skrzywdzeni krzywdzą. Nienawidził wtedy wszystkiego, co żyje. Chociaż nie... nienawidził wszystkiego, co *może umrzeć*. Ale nawet wtedy... nawet wtedy wiedział, że pewnego dnia jeszcze za nimi wszystkimi zatęskni. Za rodziną, za przyjaciółmi, nawet za ofiarami. A teraz? Teraz jego rodziną były prymitywne, na nowo budujące się plemiona barbarzyńskich ludzi i istot im po-

dobnych. Nie widział w nich wartości. Byli replikami. Wszystko, co mówili, zostało już powiedziane. Te same stare, utarte, bezsensowne słowa, w świecie szukającym odstępstw, chcącym zrobić coś lepiej. Drżał na myśl o dniu, w którym w jednym z nich rozpozna znajomą manierę. Czasem zastanawiał się: czy jego żywot też już kiedyś się wydarzył? I ile razy?

Minął zrujnowaną wieżę zegarową, niemal w całości zasypaną śniegiem. Nikt od tysięcy lat nią się nie zainteresował: tubylcy uznawali pozostałości Sprzed za miejsca tabu, tak jak wszelkie metale i pismo. Nawet przez jego oręż, starożytny shairn z zielonkawego stopu, wyklinali go z każdej wioski. Zaczął drzeć mocniej. Już nie z zimna – z wściekłości. Czwórka mu wszystko odebrała, odebrała mu stary świat i pozostawiła go tutaj. Na zawsze zamknęła go na pobojuwisku, na którym wymordowała całe życie na Eanisie. „Ocaliła”, jak mówili wrogowie Legionu Jednonogiego Byka. *Marathar*. Jakże ta nazwa głupio brzmi. A jednak we wszystkich poprzednich erach – Ksiąg, Żniw, Mgieł – wzbudzała przerażenie. Gdy zaś *Marathar* w końcu nadeszło, większość ludzi dowiadywała się o tym dopiero w momencie, gdy Czwórka ich zabijała. I och, z jaką radością dawali się zabijać – choć „zabijać” to też niewłaściwe określenie, użyte przez ograniczenia języka. Tylko Czarny Kronikarz miał ocaleć. *On*. Dostał zadanie i musiał je wypełnić, czy tego chciał, czy nie. Nagroda kusiła.

– Jednak nie jesteś samotny w tym zadaniu – rzekł mu głos.

Warknął. Głos ów należał do Przebudzonego. Przebudzony był bogiem. Gdy Czwórka odeszła, zostawiwszy świat w ruinie, Przebudzony – wtedy jeszcze zwany Śpiącym – wyśnił wszystko to, co na początku Eanisu wyśnił Świetlisty, i na nowo powołał do istnienia istoty żyjące. Według siebie samego, dokonał czegoś wspaniałego. Według swojego „niewolnika” dokonał partactwa, podróbki, parodii, tylko dokładając jemu roboty. Miał uczyć nowe istoty życia i przetrwania, zachować i przekazać im wiedzę o starym świecie. Pilnować, by nie zbłądzili i nie sprowadzili drugiego *Marathar*. Jak na razie ciężko mu to szło. Tubylcy nieodmiennie okazywali się nie tylko oporni, ale i wrodzy wiedzy. Działy też na tym nowym świecie siły, mroczne, łakome siły, niegodziwe siły, którym zależało na porażce tej nauki. Zaś Przebudzony był tym strasliwym rodzajem boga, który trzymał się „zasad”. Logikę tych zasad, jak w poprzednim świecie, mogli zrozumieć tylko najbardziej obłąkani okultyści. Być może po prostu nie był pewien swego. Jedną z zasad była zasada wzajemności: śmiertelni okazują mu oddanie, a on dopiero wtedy działa. Jako na ziemi, tak w niebiosach. Jak na wysokości, tak i w głębinach. Lubił dawać swoim sługom przeróżne „święte misje”: krucjaty, pielgrzymki, podróże wizji, swego rodzaju inscenizacje przygód herosów z dawnych lat, zwycięstw poświęcanych bogom, które miały zwiększać ich potęgę. (To i tak lepiej niż wielu starych bogów, którzy lubowali się w pożeraniu swych popieczników). On z kolei wielokrotnie już brał na siebie takie misje, byle tylko zwiększyć możliwości Przebudzonego. Siła bogów tkwiła w dowodach, choćby i fałszywych. Fakt: wymagało

to porwania wielu ekspertów z Pustki Nad, ale opłaciło się.

– Myślisz, że Deiwos kazałby Chentisowi cię oszczędzić, gdybyś nie był przeznaczony do czegoś więcej, niewolniku? – spytał Przebudzony.

– Odpieprz się z „byciem przeznaczonym”. Wiem doskonale, co planował dla mnie Deiwos. I Sethoss, gwoli ścisłości – odpowiedział on.

– Nie, Sethoss nie miał w tej sprawie głosu. To Deiwos uczynił cię Czarnym Kronikarzem, nie twój własny bóg-stwórca. Polecenie z góry, jak to czasem mówią ludzie. Zastanawiałeś się kiedyś dlaczego? Dlaczego to tobie się udało uciec? Co takiego w sobie miałeś?

– Wiem o tym. Dlatego nienawidzę ich wszystkich – rzekł niemalże beznamietnie. – Nienawidziłem Sethossa przed Marathar, za odtrącenie mnie jak śmiecia, dlatego pozostawałem wierny Zeinishalowi. Teraz nienawidzę Deiwosa.

– Nienawidzisz wszystkiego?

Westchnął.

– Tak. Nienawidzę tego miejsca. Nienawidzę *ciebie*. Nie wiem, jak to wszystko kochać, a nawet lubić – pozostaje mi więc jedynie wszystkiego nienawidzić. Ta nienawiść jest dobra. Działa jak pokarm; mięso i woda. Daje więcej siły niż mleko z cyca. Zwykłego śmiertelnika być może spytałbyś: dlaczego więc się nie zabijesz? Ale mnie nawet ta możliwość została odebrana!

– Wiernie jednak wykonywałeś moje polecenia przez ostatnie dwa tysiące lat.

– Miałem w tym swój interes. Świat to transakcja.

Zastanowił się. Owszem, miał w tym swój interes. Opiekować się życiem na odrodzonym Eanisie, uczyć na nowo gatunki rozumne sztuki przetrwania? Czemu nie.

– Nie tylko sztuki przetrwania. Innych sztuk też – przypomniał mu Przebudzony, czytając jego myśli. – Ale innych uczyć nie potrafisz.

Zgrzytnął kłami. Zgodził się na cokolwiek dopiero po tym, jak Przebudzony przyrzekł mu, iż zobaczy jeszcze gamajuny. Kobaal Srebrny, Kharos Czarny oraz Forvis Czerwony, a także jego zielona pramatka Nerylth... Jeśli Przebudzony nie kłamał – a to zdarzało mu się rzadko – to gamajuny, „smoki” w prymitywnej ludzkiej mowie, rzeczywiście żyły i prawdopodobnie wciąż roztaczały swoją magiczną aurę. Co oznaczało, że jeśli zbierze się odpowiednią liczbę ludzi...

– ...można będzie na nowo stworzyć twój gatunek – rzekł Przebudzony. – Więc jest jednak jeszcze coś, na czym ci zależy. Nienawidziłeś Sethossa, powiadasz? Dobrze. Więc sam bądź Sethossem.

– Mam taki zamiar – westchnął on, obojętnie.

– Jeszcze nie rozumiesz, co to oznacza. Z dziką satysfakcją będę patrzył na twój ból, gdy zrozumiesz. Lecz póki co ochronię cię, byś mógł się przekonać. Ciężko jest być bogiem.

– Idź w pizdu, Przebudzony. Nie potrzebuję twojej ochrony – warknął gniewnie.

– Nie? Zginiesz beze mnie. Znów. I znów, i znów, i znów... Znów *zginiesz*, mój mesjaszu, mój niewolniku, za każdym razem tracąc coraz więcej.

– Ha! Dość miła perspektywa.

Dlaczego nie bał się zatracenia? Dlaczego go pragnął? Nie mógł osiągnąć śmierci, więc ucieczki wielokrotnie szukał już w nieświadomości. We śnie, w opium, w stanie niebytu między zgonem a zmartwychwstaniem. Był to czas, w którym nie czuł swych okowów. A jednak przez te niemal dwa tysiące lat od śmierci Eanisu, nie postradał zmysłów. Czasem je od siebie odsuwał, ale nigdy ich do końca nie stracił. Jak on tego dokonał?

– Wiedziałeś, że jest szansa na powrót do normalności. – Przebudzony znów odpowiedział na jego wewnętrzne pytanie. – I wiedziałeś doskonale, że nikt inny tego nie dokona, tylko ty. To twoje ostatnie ziarno, którego nie umiesz odrzucić. Będziesz obsesyjnie, kurczowo trzymał je w najbardziej zakrwawionej, obciętej nawet pięści, bo choć nie możesz umrzeć, to jesteś *śmiertelnikiem*.

– Moja normalność zginęła, gdy zginęli oni wszyscy – warknął on. – Wszyscy, co do jednego. Nie wrócą. Myślałem, że będzie inaczej, że zaczniemy od nowa. Ale nie jest. Jestem już tak zmęczony Calidem, jak byłem Eanidem. Zmęczony byciem uwikłanym w pajęczynę historii. Wszędzie w tym nowym, wspaniałym świecie widzę tylko degradację. To, co tworzymy, to ochłapy, podróbki. Samotność zostanie mi na zawsze. Tak samo jak ten obłąd.

– Obłąd?

– Jak to inaczej nazwiesz, do cholery? Przez ponad tysiąc dziewięćset lat nie rozmawiałem z żadną istotą znającą mój język. Ci ludzie, te wszystkie istoty żywe, one są... są niedoskonałe. To kopie.

– Uczą się dopiero, jak istnieć.

– Partackie kopie! Wyszły spod ręki rzemieślnika, a nie artystów, jakimi byli Lemurianie i Vaimarrath. Bez obrazy.

– Nie szkodzi. Mylisz się zresztą.

– Ech! Zresztą chyba fakt, że rozmawiam z bogiem, nie świadczy dobrze o mojej sprawności umysłu. Czy ty w ogóle istniejesz, Przebudzony? Czy wy wszyscy kiedykolwiek istnieliście? Wiedziałeś, co mnie czasem napada, gdy widzę relikty sprzed Marathar.

– Jednak to wspomnienia nie dawały ci oszaleć. *To jedno* wspomnienie, które stało się pryzmatem, przez który widzisz wszystkie inne.

Zatrzymał się i wbił wzrok w płonące na niebie mgławice, wciąż pełne rozdar- tych imion sprzed kataklizmu. Przebudzony – niezwykle! – się nie mylił.

– Wiesz doskonale, że nowy Eanis również będzie potrzebował bohaterów, niewolniku. A także potworów, by dać im rację bytu – rzekł nieco oskarżycielskim tonem Przebudzony. – I to nie zwykłych, ale z Przepowiedni Vaimarrath. Tak, przyjacie-

lu. Nie wszystkie Przepowiednie Vaimarrath się spełniły, choć zapisy o nich zostały zniszczone. Ale one nie potrzebują zapisów. Pozostały setki. Biała, ta, która powoli spełnia się nawet w tej chwili, rodząc nadzieję na odrodzenie starego Eanisu. Żółta, której bohaterem od samego początku jesteś *ty*.

– I Srebrna.

– Tak, Srebrna. A więc wiesz, że twoja rasa się odrodzi. Bohaterem Srebrnej będzie półsmok, taki jak ty.

– Ja tego *nie wiem*, Przebudzony. Przepowiednie... *Prawdopodobieństwa* tak nie działają. Jeśli *ja* nic nie uczynię...

– Więc uczyni! Dopóki czynisz, przyszłość jest ci poddana.

Usiadł na złodowaciałym pniu. Przebudzony nadal miał rację. Więc może rzeczywiście on jeszcze nie oszalał? Może rzeczywiście żyje dzięki tej świadomości, że nie będzie jedynym półsmokiem na całej zimnej planecie?

Czy to, co czuje, to... *nadzieja*? Ostatnie ziarno, którego nie umie odrzucić. Bura wyła dalej. Ale na ułamek sekundy przestał słyszeć w niej żalony pisk.

– Wierysz w Przepowiednie Vaimarrath – szepnął bóg. – Bo na własne, gadzie oczy widziałeś, jak jedna z nich się spełnia.

– Tak, widziałem. Dlatego wiem, czym *nie są* i wiem, co muszę zrobić.

– Pamiętasz... Drago?

Półsmok spojrział na medalion na piersi. Była to właściwie zwykła, złota moneta z niegdysiejszego Imperium Andred, o oksypijskim rewersie przedstawiającym grzechotnika śpiącego na stercie monet. Ale to dzięki niej przeżył tyle lat w tundrze, dzięki niej *pamiętał*.

– Pamiętam.

– Przypomnijmy Złotą Przepowiednię, najważniejszą, sobie nawzajem. Abyś zrozumiał jej alef. Ja ci powiem, co się z nim działo, gdy ty go nie widziałeś. A ty opowiesz mi, co przeżywaliście razem.

Drago umilkł, po czym szepnął bezwiednie:

– Trzy tysiące lat...

– Tak, trzy. Długi czas, nawet dla półsmoka, prawda? Ile to w przeliczeniu na ludzkie lata?

– Dla półsmoka trzy tysiące lat to jedna piąta życia. Czyli...

– ...jak dwadzieścia lat ludzkich. Mniej więcej.

– Bardziej mniej niż więcej. Ale mi to nie robi różnicy – uśmiechnął się kwaśno Drago, zadając kłam swoim słowom.

– Powiedz mi, co pamiętasz z tamtego czasu. Masz dobrą pamięć, niewolniku.

Półsmok zastanowił się. Zaczął sobie przypominać szczegóły. Najpierw: miejsce akcji.

Stara dobra Wyspa Morthon, pośrodku Tygła, między Laschal i Wyspą Mor-

nir, a Dalryonem... Na południe od Morza Łaknień i Hiperborei, a na północ od Zaniedbanego Azymutu. Ze stolicą po geograficznie dokładnie przeciwnej stronie Eanisu niż Zwierciadło Oświecenia. Rok 1623 Ery Żniw, czyli Rok Skrytych Palców. Zamaskowanym Imperatorem sibu Andredlingów był Hkelor Tarshil VIII, dziedzicem tronu jego syn Alyn Tarshil, w jednych kręgach zwany Pobożnym lub Czarnym Księciem, w innych Valthem Sukinkotem. W sprawach andredzko-mornirskich panował chwilowy spokój; Góra Gniewu milczała. Ale i tak ciężkie czasy trwały dla Imperium... Wrócili Moryol Ved. Na wieść o kolejnym odrodzeniu Lytosa, Mroźnego Proroka, wrócili Arnhandyci. Łeb podnosił też wtedy kult pod wodzą Dismasa, Hrabiego Popiołów, który za trzydzieści lat miał rozpętać schizmę i wojnę domową. Zakon tracił władzę we wsiach, do których wróciły szept o Czcigodnym, przez co przerażeni żercy z Milczącego Dębu mogli każdego dnia spodziewać się, że zapłoną stosy. Legion Białego Płomienia nabrał znaczenia politycznego. Niepokoiła się wyleniała szlachta, rozrywająca kraj od środka, trzymana na smyczy tylko dlatego, że Imperator obiecał buntownikom egzekucje, o których rozmachu miało się słyszeć po drugiej stronie świata. Ognisty Chan orków, zawsze wierny, wspomagał Imperium, półsmoki, jego lud... cóż, nie wtrącali się. Czekali na odpowiednią ilość złota od Hkelora, aby mieć chęć pomóc w opanowaniu tych niepokojów. Albo od Mornira. Klimat polityczny był wśród nich wtedy nieco... burzliwy i krwawy. Srebrni rycerze Sethossa regularnie mordowali się na ulicach z zielonymi rycerzami Zeinishala. Ale trzymali pyski na kłódkę dość dobrze i wydawało się, że nawet Sharnevinde o niczym nie wiedziało. Choć czas, rzecz jasna, pokazał tego nieprawdę.

– Przypomniałeś sobie. Dobrze. A teraz ja ci co nieco opowiem... o *nim*.

Eanis. W hurwalinie, najstarszym znanym języku ludzi, oznacza to „wszelkie miejsce”.

Enigmatyczni Zarządcy Malowanego Bazaru wierzą, iż Eanis narodził się z wahania. Uformował się samodzielnie, wylaniając się pewnego dnia z Wielkiego Może. Gdy zaczął istnieć, był już w pełni ukształtowany, zaludniony wszelkimi gatunkami istot rozumnych i nierozumnych. Zarządcy są zdania, iż Eanis powstał właśnie dla Zarządców, którzy – wedle swego typowego sposobu myślenia, przekładającego się na ich mitologię – sądzą, iż to właśnie oni stanowią centrum i główną siłę napędową Multiwersum. Eanis powstał, by dać Zarządcom sens istnienia. Eanis powstał, by Zarządcy mogli handlować z pomniejszych istotami.

Kult Erydanu powie Ci, że Eanis został wypłuty przez wielką pustkę we Wszechświecie. Należał niegdyś do innego Wszechświata, który stał się zbyt tłoczny i zaczął pękać. Przez to pęknięcie prześliznął się właśnie Eanis. Pęknięcie istnieje do dzisiaj i wieją z niego wichry Kwintesencji – stąd mamy moce, które laicy i pospólstwo zwą „magią”.

Z podań Zinlingów wyczytamy, że Eanis to wielkie jajo zniesione przez Alkhana, węża oplatającego cały świat. Alkhan niegdyś był bykiem, ale ludzka niegodziwość pozabawiła go nóg. Alkhan śpi twardo, pilnując swego dziecka. W zamierzchłych czasach

Abu-Waqar, wielki heros, wszedł do środka jaja i zabił potomka Alkhana. Pewnego dnia Alkhan się przebudzi, by ujrzeć, że płód wewnątrz jajka nie żyje. Odpadnie mu wtedy ostatnia, szczątkowa noga, a jego gniew zniszczy Eanis. Nasyci się śmiertelnikami, odrosną mu nogi i zapadnie znów w sen. Jego spokojny, lecz potężny oddech owionie świat mroźnym wichrem, rozpoczynając wielką zimę.

Inzalaski Kościół Wcieleń wierzy, iż Multiwersum powstało... cóż, trudno to wyjaśnić bez operowania takimi pojęciami jak „moment”, „chwila”, „podczas”, „w trakcie”, ale to określenia niewłaściwe, bo Czas narodził się dopiero potem. W czymś, co wykracza poza pojęcia „przed” i „po”, kosmiczne siły Stałości i Zmiany pozabijały się nawzajem, a z ich mieszejącej się krwi powstał Czas. Czas skryształizował się w Materię, a Materia w Życie, które nazwało się Eanis. Wszystkiego tego jest w Istnieniu ściśle określona ilość i wszystko, łącznie z Czasem, musi wrócić do Wielkiego Koła, by cyklicznie potoczyć się znów tak samo jak przedtem. Innymi słowy: czytaliście już słowa, które teraz piszę i które już pisałem eony temu. Nie jest to również ostatni raz, gdy je czytacie.

Wampiryczne plemię Bu-Atu z Seledynowego Archipelagu twierdzi, iż niegdyś po Szklanym Nieboskłonie krążyły trzy księżycy. Niegodziwe Słońce pożarło jednak najwspanialszy z nich w zawiści, po czym wydalilo z siebie ekskrementy, z których bracia zjedzonego ulepiły Eanis. Do dzisiaj krążą wokół niego, rozpaczając i starając się osłonić go przed Słońcem w czasie zaćmienia.

Spędziłem swe życie na badaniu mitów kosmogonicznych, mitów stworzenia, i zapewniam, że wśród eaniskich kultur krążą historie jeszcze dziwniejsze, jeszcze bardziej skomplikowane, a niektóre i niemożliwe do opowiedzenia językiem, który śmiertelnicy mogliby zrozumieć. Na tle ich wszystkich wyjątkowa jest wiara Zakonu Nieskończonych Słońc, zrodzonego na Wyspie Morthon, tam, gdzie dzisiaj panuje Imperium Andred.

Ich bogini-patronka Volsharuss nie stworzyła według nich Eanisu. Nie stworzyła go Ulasiga, jej odbicie. Nie stworzyły go także gwiazdy, jej bracia i siostry. One po prostu były tu już wcześniej, tak jak wcześniej był Eanis, niestworzony, niezrodzony, po prostu będący. Zakonnicy Nieskończonych Słońc nie posiadają przypowieści i mitów stworzenia, nie posiadają kosmogonii, nie posiadają teogonii. W ich pismach nie poświęcono na to nawet jednej litery. Nie rozmawiają o tym, nie nauczają o tym, bo idea mitycznego stworzenia świata u nich po prostu nie istnieje.

I teraz, po latach badań, po podróży do Morza Co Słońca Nie Widziało i z powrotem, dochodzę do jednego wniosku: to właśnie wierni Nieskończonych Słońc są spośród nas tymi mądrymi. Nie dlatego, że mają w czymkolwiek rację. Nie mają jej. Ale dlatego, że światowe mity kosmogoniczne próbują odpowiedzieć na pytanie, którego wyznawcy Słońc słusznie nie ważą się nawet zadać.

Anonimowy list do arcymaga Cygnusa Vargo, rok 56 Ery Mgieł.

Akt I

Kriekomora

ROZDZIAŁ I

ECHO

Największą bezczelnością, jakiej może dopuścić się śmiertelnik, jest wiara w to, że jakiegokolwiek odpowiedzi po prostu mu się należą.

- Hkelor Tarshil VIII, Zamaskowany Imperator

I wtedy Arvid poczuł coś swoją prawą dłonią, którą opierał się o podłogę. Metal? Tak, metal, zimny... Jakiś pręt? Spadł z tej całej maszynierii na suficie, gdy he'quas wstrząsnął relikwiarzem? Chciałby mieć tyle szczęścia – mógłby przynajmniej spróbować uderzyć to monstrum, choć nic to by nie dało, oprócz jakiegoś poczucia, że nie odszedł bez walki... Arvid, nie mogąc oderwać wzroku od ręki upiora, przesunął palcami po metalu, chcąc złapać za koniec. Wtedy jednak napotkał nimi coś – jakby zgrubienie? Ale... grawerowane?

O, *moje Słońca*, pomyślał, nie mogąc uwierzyć w to, co się działo. To nie było zgrubienie. To był jelec. Morthoński, kielichowy. Kciukiem wyraźnie dało się wymacać wyryte na nim bruzdy swargi.

– Odsuń się. Os-s-s-strzegam cię – zgrzytnął zębami Arvid.

He'quas w mrozącym krew w żyłach geście przesunął palcem po policzku Arvida, jak upiorna parodia mężczyzny pieszczącego kochankę. Sprawiał mu ból potwornym zimnem.

– Sssłodka niewinności – zaśmiał się. – Trzeba ją ussunąć. Lepiej teraz niż później. Lepiej my niż ty sssam.

I kiedy upiór już chwycił policzek Maldafarotha w swój lodowaty uścisk, w ostatnim geście desperacji ten krzyknął, a raczej zaskowyczał niczym spanikowane zwierzę:

– Precz!

I, wyjąwszy rękę spod błękitnej mgły spowijającej podłogę, zamachnął się na Volkira.

Na kalendarzu widniała data: 27 pajęcznika. Arvid Maldafaroth Drugi, oksipicki komtur Zakonu Nieskończonych Słońc imienia świętego Arcara Drokina, a także dowódca kapituły talsirów¹ Płomienia zwanej Ręką Drokina, krzątał się nerwowo po kieszko oświetlonym pokoju. Rozpaczliwie próbował znaleźć swoją wierną fajkę odebraną pewnemu nekromancie z (nieistniejącego jeszcze w obecnej Rzeczywistości) miasta Nowe Formus. Widać było krople potu perlące się na jego czole; oddychał ciężko, cały czas czegoś dotykając – czy to mebli, czy ścian – byle tylko uspokoić w jakiś sposób ręce. W niewielkim, ale bogato urządzonym domu w mieście Hetnis, stolicy Imperium Andred, robiło mu się przeraźliwie gorąco. Nawet mimo tego, iż za oknem w najlepsze trwała sobie późna jesień, nie mówiąc już o wietrze, który niemal wiecznie wiał w tym podhalańskim mieście. To na pewno gorące rury, powtarzał sobie Maldafaroth, zerkając na zawieszone pod sufitem metalowe kanaliki znikające w kamiennej ścianie. To na pewno para w rurach tak rozgrzewa wszystko. W piwnicy działa piec, tak. Wrze jak trzewia wulkanu. Być może nawet palą w nim jakiegoś poganina. Uspokajała go ta myśl.

W końcu znalazł fajkę. Leżała na rozwiniętym pergaminie, na którym znajdował się chaotyczny raport o wzmożonej aktywności wyznawców Czcigodnego. Z lekkim uśmiechem ulgi nabił ją tytoniem śliwkowym i zapalił. Dym o ostrym smaku trochę go dusił, jednak również koił nerwy. Był to ekskluzywny tytoń Wielkiego Rodu Alpegem, hodowany na magicznej glebie i pielęgnowany przez specjalnie do tego przygotowanych czarowników. Działał *dobrze*, jednak nic nie mogło tak naprawdę uspokoić komtura w tej chwili. Jeden czy dwóch niewolników krzątało się po pomieszczeniu, wycierając kurze i brud z podłogi i starając się nie wchodzić w pole widzenia swojego sfrustrowanego właściciela. Na ścianie siedział sobie czarny motyl, impertynencko potrząsając skrzydełkami.

– Za dużo się denerwujesz, Szefie. Wszystko będzie dobrze – powiedział jego przyjaciel i najwyżej postawiony podwładny w Ręce Drokina, prokurator Kaled Zurvan Manhall, siedząc na fotelu przy pobliskim kominku. Opanowanie od niego biło... po twarzy. Tak przynajmniej zdawało się komturowi. Nie dało się jednak nie zauważyć pierwszych oznak cieni pod oczami Manhalla. Sny o Słonecznym Kazaniu zaczynały dawać mu się we znaki, jak i jemu przed kilkoma laty.

– Idź w cholerę – fuknął Maldafaroth. – To nie twoja żona rodzi właśnie na piętrze.

– Właśnie przed takimi stresami chciałem się ochronić, gdy wybierałem celibat.

– Jak chcesz. Każdy wybiera swoje własne okowy. Twoimi mogą być lędzwie, jeśli cię to uszczęśliwia.

– Słusznie, także nie ma różnicy między nami, prawda? Obaj robimy, co uważamy za słuszne, przyjacielu.

– Kaled...

¹ Mor. (wym. „tal-sij-er”) – rycerz, bojownik za wiarę; wspólny termin na pełnoprawnych członków Zakonu Nieskończonych Słońc.

– Ach, ale to, co uważamy za słuszne, tak cholernie od siebie się różni, że może nie być między nami żadnej możliwości zgody.

– To co w takim razie jest między nami możliwe?

– Honor i śmierć? – zaśmiał się perliście Kaled, puszczając do niego oko. – Ależ, spokojnie. Jestem tu po to, by cię uspokoić, czyż nie, Szeffe?

– Tak. Zamiast tego mnie jeszcze bardziej wkurwiasz.

– To jak to było z tymi okowami, mój ty najdroższy hipokryto? Chodź, weź sobie śliwkę, skoro już palisz tytoń śliwkowy. To na pewno jest zdrowsze od palenia. Nie denerwuj się tak, z Cassią będzie wszystko w porządku. Pilnują jej Villia i ten jej kłobuk. – Kaled sięgnął po jeden z rzeczonych owoców, których pobliska miska była pełna. Pękate, granatowe śliwki zostały zebrane dzisiaj rano. Na Wyspie Morthon ciepła pogoda trwała długo, nawet w jesieni – a potem nagle urywała się, jakby ją nożem ucięli, gdy błyskawicznie spadały śniegi. Kto wie, może za tydzień po śliwkach pozostanie tylko wspomnienie. – Mam stuknąć parę razy w cymbały? Te, wiesz które?

– Nie. Nie ruszaj ich. A ja uspokoję się, jak już się skończy. Nie stukaj w cymbały, sam zadbam o to, by... ktokolwiek do nas dzisiaj dołączy, nie był zwykakiem. Nie pozwolę na to. „Zwyklak to brzydkie słowo”, Kaledzie.

– Cytaty z komtura Rigiosa, jak zwykle. Och, usiądźże. Teraz nic nie zrobisz. – Kaled wypluł pestkę, przewracając oczyma. – Każdy chce rządzić światem, ale czasem trzeba wyzbyć się kontroli i po prostu czekać. Będzie dobrze.

Komtur zagryzł wargi i zamknął oczy, słysząc *dwa* krzyki – jeden kobiecy, znajomy, drugi... inny – z góry.

Pokój zdawał się drżeć. Okiennice otworzył wicher pachnący paradoksem. Komtur przysiągłby, że słyszał świst ostrza przecinającego powietrze.

W tym samym czasie...

W Katedrze Nieskończonych Słońc panowała względna cisza, przerywana tylko ciężkimi krokami okutych w stal butów Gwardii Honorowej. Ci strażnicy, wyglądający włamywaczy i sabotażystów, mieli oczy i uszy dookoła głowy. Niektórzy, za łaską Słońc, dosłownie. Minęło już wiele lat, odkąd ktoś odniósł sukces w okradaniu Katedry, głównie z tego powodu, że była ona prawdziwym labiryntem – dlatego wszystkich nie-rycerzy wpuszczano tylko do głównej nawy. Katedra nie akceptowała tych, którzy nie wierzyli, że ją znają jak własną kieszeń.

Była nie tylko miejscem kultu. Była także fortecą. To w niej przebywało ponad tysiąc rycerzy Słońc, w tym sławna kapituła Ręki Drokina, a także cała sieć maszynierii i magii ochronnej. Każdy jeden rycerz był zawsze przygotowany do bitwy, czy to na miecze, czy na magię, czy na strzały i kule, czy na wiarę – a ta ostatnia dawała im potęgę iście straszliwą. Jeśli ktoś próbował walczyć z rycerzami, to lepiej, by był pewien swego.

Wśród całej obejmującej Katedrę ciszy wprawne ucho mogło wyłapać jedną, nikłą gamę dźwięków. W gabinecie Pana Żaru Zakonu, Wielkiego Interpretatora Woli Słonecznej, Wielkiego Pantysokraty Wiernych, Pierwszego Taumaturga, Metatronozofa Solarnego, komtura Miasta Stołecznego Hetnis i Wszechkomtura Eanisu, valth² Belenusa Wahmana Drokina, trwało właśnie spotkanie z Arcymagiem Wieży-Klucza, Arcturusem Vargo, oraz Czarodziejem z Imperialnej Szóstki, Mudibusem Malesem. Miał tam być jeszcze Mtambo Akili, Wielki Inżynier Gildii Sterników, jednak – w związku z prezentacją nowego projektu maszyny przed Imperatorem – nie mógł się stawić. Wszyscy wartownicy otrzymali dokładny rozkaz, by nawet nie podchodzić do drzwi gabinetu, gdyż „spotkanie to było zbyt ważne, by cokolwiek mogło przerywać”.

Gabinet Pana Żaru nie był ani zbyt duży, ani zbyt mały – po prostu odpowiedni. Połowę miejsca zajmowały szafki i półki z wieloma, och, jakże wieloma książkami. W większości stanowiły one jedyne istniejące egzemplarze w kraju. Tu i ówdzie zdarzały się opasłe, obwiązane łańcuchami tomy – takie jak „Rzemiosło miłości” czy „Teoria erydańska” – których lepiej było nie otwierać. Nigdy nie wiadomo, gdzie poprzez taką książkę można trafić. Tuż obok drzwi wyjściowych, wykutych misternie z żelaza z Car Seren, wisiał na ścianie ukochany półtorak valth Belenusa. Miecz ów, Egida, pokryty był glifami i cienką warstwą kości donranowej – potocznie zwanej srebrem – po jednej stronie klingi, a entropiożelazem po drugiej. Rękojeść przypominała kielich ze swargą, wedle tradycji Zakonu. Ulubiony obraz Kapłana, „Bitwa o Piscarel”, wisiał na ścianie tuż naprzeciwko biurka. Za każdym razem gdy Pan Żaru podnosił głowę znad dokumentów lub księgi, widział właśnie ten obraz. Zapytany, dlaczego właśnie ten, odpowiadał: „Autor najwyraźniej z wielką pasją malował poskręcane agonią twarze pogan. Ten widok jest sycący dla zmęczonego umysłu”. Obok niego znajdował się drugi obraz, trzymany przez Belenusa jako przestroga: malunek wydarzenia, które się nigdy nie odbyło, w wykonaniu ludzi, którzy się nigdy nie urodzili, w roku, który nigdy nie nadszedł. A na drążku, umiejscowionym na tyłce przy biurku Jego Świątobliwości, siedziały z kolei Benito i Fiachra, jego ukochane, białe kruczki-nierozłączki.

W tymże gabinecie Pan Żaru zmierzył swoich przeciwników drapieżnym, złowieszczym wręcz spojrzeniem. Nie interesowało go w tej chwili, że nosił na środkowych palcach pierścionek z takim samym symbolem jak on. Wiedział, że to, co zaraz powie, zgubi tych nędznych kuglarzy, zgubi ich ostatecznie i pogrzeży w rozpacz. Czemu by miał tego nie robić? Każdy chciał rządzić światem, nikt nie mógł go winić za tę żądzę. Przeciągał ten moment, jak się dało. Chciał się tym delektować. Szczercząc się sadystycznie, wykonał szybki ruch ręką i...

² Mor. (wym. „**walt**”) – *czcigodny, dostojny, lord*; wspólne określenie na osoby z wyższymi tytułami szlacheckimi.

– *Żądam ósemek* – rozebrzmiało w głowach jego towarzyszków, gdy kładł kartę na stół. Jak na razie gra szła mu znakomicie. Jego przeciwnicy, magowie, z niesmakiem spojrzeli na swoje własne talie. Zerkali na sakiewki pełne złocisz, platynów, sarnajskiej pszenicy, bryłek cynobru i (co najbardziej ich interesowało) skryształizowanych dusz, snów i sekretów, będących aktualnie w puli do wygrania. I to nie zwyczajnych, od skazańców, tylko od szaleńców, którzy rozstali się z nimi dobrowolnie. Słowem – stawka obłędnie, dekadenccko wręcz wysoka. Na tym stole znajdował się majątek, za który dało się kupić niewielkie państwo. Arcturus westchnął z niesmakiem. Jego kobiece dłonie, zmienione przez Sztukę, zaczęły wyciągać karty z talii wspólnej.

– Oszukujesz – rzucił Mudibus.

– *Nie, gram uczciwie. Umowa społeczna, Mudibusie* – oświadczył Belenus z najwyższą powagą. Telepatycznie, rzecz jasna. Z konieczności. Valth bardzo sprawnie radził sobie ze swoim brakiem języka uciętego za młodu. – *Nie każdy był szlachcicem od urodzenia, mospanowie. Podłapało się parę chwytów karcianych tu i ówdzie...*

– Słyszeliśmy to już wielokrotnie – mruknął Arcturus. Jego Świątobliwość kochał przypominać im o swoim niskim pochodzeniu, zawsze gdy ucierał im nosa. – Ech, gdyby Akili tu był, przechytryłby i ciebie.

– *Cicho. Słyszycie to?* – mruknął Belenus, jednocześnie spojrzeniem dając rozkaz zamilknięcia temu, co szeptało do niego zza tafli wiszącego w gabinecie lustro.

Rzeczywiście, coś rozlegało się w powietrzu. Cichy dźwięk, jakby rezonujący wśród uliczek miasta Hetnis, stolicy Imperium. Dało się wyczuć drganie powietrza, jakby pełne było gorąca.

– Płomieniu... To Drzenie – rzekł ze strachem Arcturus.

– Najwyraźniej tak. Czy coś dziwnego miało się zdarzyć? Czy ty i twoi rycerze znowu coś kombinujecie z Mieczem Sceptyka? – spytał Mudibus, podejrzliwie patrząc na Belenusa.

– *Nie, na pewno nie. Nic się nie miało zdarzyć, tylko... tylko...*

Valth Belenus zerknął na oprawione cynobrem lustro. Mina jego mieszkańca powiedziała mu wszystko, co musiał wiedzieć. Karty poleciały na podłogę, gdy wszyscy jak oparzeni wypadli z pomieszczenia i popędzili do Wieży Bibliotecznej. Cokolwiek spowodowało Drzenie, było zbyt blisko, by się tym nie przejmować.

W tym samym czasie...

Valth Drendis Mornir stąpał nerwowo po swojej wielkiej komnacie – pustym, sterylnym pomieszczeniu, przypominającym raczej laboratorium niż sypialnię. W pobliżu nie stało żadne łóżko. I tak nigdy nie sypiał. Już kilka wcieleń wcześniej stworzył sobie ciało, które nie wymagało snu. W powietrzu łączyły się zapachy mocnego kadzidła palącego się na jednej z półek, eliksirów spoczywających na pobliskim stole z aparaturą oraz... krwi. Ten ostatni aromat stanowił sedno istnienia całej kom-

naty. Krew stanowiła słowa, a on chciał je słyszeć stale. Co chwila dowiadywał się z nich czegoś nowego.

Od zewnętrznego korytarza ciągnął duszący zapach stęchlizny, jaki roztaczali wokół siebie elitarni strażnicy fortecy: kościeje, postrachy skonstruowane z kości i żelaza, połączonych trochę magią, a trochę zwykłą techniką. Panujący w pomieszczeniu swąd lepszy był od zabójczego odoru armii stacjonującej u stóp fortecy. Była zbiorowiskiem wszelakich mutantów stworzonych dzięki starej nauce, której jednym z ostatnich powierników był gospodarz. Dobrze zadbał o bycie ostatnim. Władcy ten smród kojarzył się z... koniecznością. Jego ambicje wymagały ogromnej zdolności do walki. Każdy chce rządzić światem. A to oznacza, że trzeba być gotowym na wyróżnienie tych, którzy nie mają racji. Ostatecznie wszystko sprowadzało się do przemocy.

Mornir wyraźnie wyczuł Drżenie, niemal go dusiła aktywność Losu tej nocy. Coś wyjątkowo poważnego działo się na Wyspie Morthon, oddalonej od jego osobistej wyspy o nieco ponad trzysta mil morskich na zachód. Coś tam spowodowało poruszenie w rzece Losu, wydarzyło się coś o wielkim priorytecie. Morska bryza niosła najśłodszy mu zapach: woń przekonania. Ze spoczywających za horyzontem brzegów czuł woń krwi. Słów, na których mu tak zależało. Tych konkretnych słów, które potrzebował poznać.

– *Karesh* – szepnął ów człowiek, telepatycznie. Zwężyły się skryte za metalową płytą hełmu oczy, białe, poprzecinane siecią graniastych linii. Nakrycie głowy zasłaniało je całkowicie, ale przecież oczy tego ciała nie służyły do patrzenia na świat fizyczny.

– Wzywałeś, *valth* Mornirze. Również czułem Drżenie. Czuję zapach duszy i tutaj.

Okropna postać, będąca ubranym w zbroję płytową szkieletem – rycerzem śmierci – zmaterializowała się po lewicy swojego pana. Był to właśnie *Karesh Vyrekal*. Złowrogi miecz, którego ów *Karesh* nigdy nie wypuszczał z dłoni, w chorobliwy sposób odbijał światło księżyców, jakby chcąc zakpić z lśniących kul na niebie. Był to jego miecz duszy. W rękach rycerza śmierci miecz duszy stawał się bronią zdolną do zmieniania biegu historii.

Twarz, a raczej czaszka *Karesha*, zdeformowana była w dziwny sposób. Kości policzkowe wystawały niczym kolce. Oczodoły zwężyły się i przepuszczały teraz cienkie strużki niebieskiego światła dochodzącego z wnętrza czaszki. Wszystkie zęby stały się kłami, zaś same kły wydłużyły się do potwornej długości. Na każdym centymetrze powierzchni bladej kości wyryto ponadto drobne glyfy, słowa klątw skomplikowanych i perfidnych, a także prawd, które dało się określić tymi samymi przymiotnikami. Spod grafitowej zbroi rycerza śmierci stale wydobywała się czarna mgiełka opadająca na ziemię niczym opary z suchego lodu.

Mornir odwrócił głowę w stronę żywego trupa, chyba bardziej dla efektu niż ze względów praktycznych. Jego twarz i tak w całości przesłaniała płyta metalowej

maski, nieposiadającej otworów ani na oczy, ani na usta. Nie potrzebował ich. Ale Vyrekał *wiedział*, że władca go *widzi*, i to w sensie o wiele głębszym niż fizycznie. Mornir go *znał*, zarówno jako Karesha, jak i pod innymi, prawdziwszymi imionami.

– *Zbierz he'quasy. Co najmniej setkę. Umieść ich w Imperium. Uśpij w klejnotach dusz, jeśli musisz. Niech czują, niech czekają* – rozkazał valth. – *Chcę wiedzieć, co spowodowało to Drzenie. Jakie zdarzenie mogło spowodować tak wielkie zamieszanie w rzece Losu?*

– Czy uważasz, panie, że to...?

– *Możliwe. Idź, Karesh. Zawiadom Lytosa. Wspomóż go, jak tylko możesz. Będzie wiedział, co robić. Czekaj na to od lat.*

Rycerz śmierci rozpląnął się w chmurze czarnego dymu, zostawiając Mornira samego. Brzegów Imperium nie dało się dostrzec zza horyzontu, ale i tak władca je *widział*, wpatrywał się w majaczące w oddali wybrzeża przez okno najwyższej wieży swej monolitycznej fortecy, wsłuchując się w czułe pomruki pobliskiego wulkanu, Góry Gniewu, Car Nara. Ten wulkan go kochał tak samo, jak on kochał jego – jak omfalos kocha swoją wyrocznię, choć trudno rzec, kto w tej miłości był kamieniem, a kto stróżem. Valth Mornir był jednym z najwybitniejszych żyjących czarnoksiężników namiętności. Potrafił przez to kontrolować ogień w podobny sposób jak zakonnici piromanci, a jednak w inny. Tam, gdzie oni narzucali chaosowi swą wolę i uporządkowanie, tak valth potrafił istnieć z płonąca furia w symbiozie. Nie wiedział, kiedy nabył tę umiejętność, ale wiedział, że przez nią jest wadliwy. I że ona go zabije pewnego dnia.

Otrząsnął się i odrzucił tę myśl.

– *Oby Exign tego nie wyczuł* – westchnął Mornir.

– Wyczuje, panie. Niestety – powiedział ktoś inny. – Mnie też nie zachwyca ta perspektywa.

Ze stojącego w komnacie lustra, oprawionego w obsydianową ramę o łamiących wszelkie prawa kosmicznej semiotyki proporcjach, wyszedł, czy raczej „wyliczył” się mężczyzna. Mężczyzna o białych włosach, bazaltowej skórze i żółtych tęczęwkach. Jego ubranie stanowiła, jak się można domyślić, głównie czern, ale ze szkarłatnymi dodatkami. W długiej pochwie na plecach nosił coś, co wyglądało jak obustronny miecz. Wpatrywał się w ten sam punkt co Mornir. Nie wyczuł Drzenia, ale wiedział, o co chodzi. Słyszał te szepty. Słyszał z dali, w łoskocie niespokojnym, jak głosy przodków. Wieszczyły mu nową wojnę, niewidzialną. Wojnę o wiarę.

– *Możemy tylko mieć nadzieję, Khamuradzie, że zdołamy wykorzystać źródło Drzenia, zanim Cardalein to zrobi* – rzekł Mornir.

– Co mam zrobić, panie?

– *Kiedy nadejdzie czas, znajdziesz tego, który wywołał Drzenie. Powiesz Lytosowi wszystko, co musi wiedzieć. A potem... złamiesz odpowiedzialnego. Resztą zajmę się ja.*

W tym samym czasie...

Postać ubrana w czarną szatę z kapturem kroczyła lodowymi korytarzami swej domeny – choć „kroczyła” to właściwie kiepskie określenie. Sunęła, przelewała się nimi, to brzmi o wiele trafniej. Była u siebie, nie musiała stwarzać pozorów człowieczeństwa. Przemierzała mroźne hale świątyni Calor-Tahbel, obojętnie mijając swoje wierne sługi, które wyglądały jak opancerzone lodowe rzeźby. W rzeczywistości były półżywiolakami, nienawidzącymi wszystkiego, w czym tlił się ogień życia. Obserwowały jednak tę mroczną postać, wiedząc, iż są jej winni posłuszeństwo – właściciel świątyni, choć skłócony z Arnhandem, bogiem lodu i mrozu, nadal znał sztuki, których ten go nauczył. Ten ktoś, ten czarownik sprzed tysiącleci, znał się na mroźnej magii jak nikt; wynikała ona z jego jestestwa i jego ambicji. Był zdolny wyrwać swoje sługi z ich domeny, ze Sfery Zimna, by strzegły jego domu. Lodowe rzeźby, które niegdyś były żywymi istotami, upiększały mroźne, samotne korytarze. Upiększały w straszliwy sposób, gdyż każda z nich zastygła była w błagalnej pozie, z wymalowanym na twarzy grymasem bólu i przerażenia.

Postać owa łapała groźnie na inne stworzenia, które krzątały się po zimnych korytarzach. Niegdyś były ludźmi, orkami, półsmokami, dziś magia świątyni zamieniła je w kreatury trudne do sklasyfikowania. Żałosne stworzenia, trzymane w Calor-Tahbel w charakterze niewolników, szybko schodziły z drogi przed swoim panem, przerażone żółtymi oczyma patrzącymi na nich zza maski – zwykłej, bordowej maski, przedzielonej na pół czarną linią i wykonanej z metalu. To nie maska powodowała w nich strach. Był to wzrok maga, wzrok oznaczający śmierć dla każdego, na kim spoczął. Pozornie bez powodu mag wycelował w jednego z nich palcem, z którego wystrzelił niebieski promień. Kreatura – niegdyś być może będąca konkretnego gatunku i płci, dzisiaj jednak przemieniona – w ciągu sekundy zamieniła się w bryłę tchalchu. Jeden z posągów poruszył się i ustawił nową rzeźbę w jakimś miejscu, gdzie wyglądałaby najestetyczniej. Spoczęła pod ścianą, idealnie nieruchoma, idealnie cicha, idealnie piękna, na wieczność. Miała mieć jakieś znaczenie w przyszłości. Pan świątyni po prostu o tym *wiedział*.

– Plugawe istoty żywe – warknął mag w języku, którego usłyszenie wlało agonię w uszy pozostałych.

Musiał na czymś wyładować nerwy. Zbyt mocno odczuł Drżenie, by i tym razem je zignorować. Zbyt długo czekał na odpowiednią okazję do dokończenia swojego wielkiego projektu, dzięki któremu wykradnie świetlistą potęgę swojego przodka, by unicestwić całe zło w swoim świecie, całe spaczenie, wszystkie te... *anomalie*, które plugawiec Mornir tak ukochał.

Wszedł do dużej, podłużnej sali, idealnie wyrzeźbionej z bryły lodu – tak samo jak reszta Calor-Tahbel. Na końcu sali znajdowało się dziwaczne urządzenie, również zrobione z lodu, jednak tym razem widać było liczne magiczne komponenty

wbudowane w maszynę. W samym jej środku znajdował się jakiś świecący złowrogo przedmiot. Zaś mniej więcej na wysokości klatki piersiowej maga znajdował się otwór w maszynie...

Otwór o dokładnym kształcie i wielkości ludzkiego serca.

– Nie wiem, kim jesteś, ty, który spowodowałeś Drżenie – warknął mag, mówiąc Nadszyfrem, co sprawiło ból otaczającym go niewolnikom. – Ale valth Exign Cardalein wie już, jak cię użyć. – Z miłością pogłodził lodową powierzchnię maszyny.
– Każdy chce rządzić światem. Ale nikt nie potrafi. Nikt. Więc nikt nie będzie.